

Burzenie polskiej gontyny (psychoanaliza czy sennik egipski)

Książka krakowskiego filozofa frapuje, jednakże muszę stwierdzić, że częściej przez niezgodę z jego twierdzeniami i wizjami, niż przez współ-myślenie i współ-odczuwanie – pisze Juliusz Gałkowski w recenzji pracy prof. Piotra Augustyniaka zatytułowanej „Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła. Studium o Wyzwoleniu”.

28 lutego 1903 roku, na deski krakowskiego teatru wkroczył Konrad. Nie postać sceniczna, ani literacka – ale samodzielny byt, Konrad, który rozpoczął swoje życie w teatrach Krakowa, Polski, i świata wreszcie, był osobą żyjącą w umysłach ludzkich i daleko wykraczającą poza słowa spisane przez autorów. Oczywiście nie chcę czytelnikom wmawiać jego realności, ani tego, że miałby się on wyrwać się ze stron Wyzwolenia, lub – co gorsza – *Dziadów*, i biegać po polskich ulicach i skwerach. Ten heros polskiej wyobraźni jest bytem intencjonalnym, rodzącym się w akcie oglądania, lub czytania, sztuki Stanisława Wyspiańskiego. Autor (i pierwszy reżyser zarazem) uczynił zaś wszystko aby publiczność tego (i tysięcy kolejnych) wieczoru ujrzała prawdziwego Konrada.

Imię, szereg cech, a także narodowa imaginacja niewątpliwie utożsamia go z postacią stworzoną przez Mickiewicza, to jednak „nowy Mickiewicz” nie skopiował go. Na krakowskiej scenie nie widziano zrodzonego w wileńskiej celi rewolucjonisty, który choć bronił Maryi,

to był gotów rzucać w twarz Bogu największe bluźnierstwo. Ów buntownik zrodził się prawie wiek wcześniej i miał za sobą wiele doświadczeń, które przemieniały go w oczach polskiej publiczności.

Lecz nie tylko Stanisław Wyspiański „odpowiada” za uczynienie ze swojej sztuki kontynuacji (i przewrotnej polemiki) wieszczb romantycznych poetów. To krakowska, a szerzej mówiąc polska, publiczność uczyniła z autora „nowego Mickiewicza”, wręczając mu, niewiele wcześniej, wieniec z symbolicznymi cyframi „44”. Zatem chociaż stanęła wobec postaci i treści, które były od dawna oczekiwane, to rodzi się pytanie czy na deskach teatru krakowskiego ujrzała to czego się tak naprawdę spodziewała?

*Nie ma co ukrywać, stał się
Konrad z „Wyzwolenia”,
również Konradem z
„Dziadów”, czyli milionem,
który cierpi za miliony, czyli
Polską i wszystkimi Polakami*

Nie ma co ukrywać,
stał się Konrad z
Wyzwolenia, również
dla nas, Konradem z
Dziadów, czyli
milionem, który
cierpi za miliony,
czyli Polską i
wszystkimi

Polakami. A jego słowa i dylematy są dylematami naszymi. Zatem śmiało każdy z nas może powiedzieć: „jestem Konradem”, a zbiorczo cały naród często zdaje się mówić, że wszyscy jesteśmy Konradami. A skoro tak, to jest rzeczą oczywistą, że warto, że wręcz należy, słuchać tego co ów wszech-polak, mówi do nas, za nas, i o nas. A skoro słuchamy Konrada, to jest oczywistą rzeczą, że obrosło owo słuchanie rozbudowaną literaturą, sprzeczną wewnątrz i upstrzoną polemicznymi połajankami...

Najnowszą wypowiedzią na temat *Wyzwolenia*, jest wydana w tych dniach, przez krakowską oficynę ZNAK, książka Piotra Augustyniaka *Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła. Studium o Wyzwoleniu*, książka frapująca, chociaż – jak to zazwyczaj z książkami owego filozofa bywa – ogromnie mnie irytująca...

Oczywiście trudno jest uchwycić wszelkie wątki kilkusetstronicowej pracy, tym bardziej że pewne chciałbym pominąć z pełną świadomością. W swojej książce autor umieszcza wiele odniesień do współczesnej polityki, dając wyraz nie tylko przekonaniom, ale i wyraźnym niechęciom oraz preferencjom. I nie znajduję w niej żadnych śladów tak popularnej postawy „symetrystycznej”, wręcz przeciwnie, można ją określić jako książkę zaangażowaną w bieżący spór polityczny. Ale nie wydaje mi się aby owa polityczne wybory autora były w niej najistotniejsze.

Daje także krakowski profesor upust swoim teatralnym zainteresowaniom, wręcz pasjom i pozwala nam zapoznać się ze swoimi (często wyrażonymi nie-wprost) opiniami na temat polskiego współczesnego teatru. Są ciekawe, jednakże dla poniższych rozważań, jest to wątek uboczny i mogę go pominąć bez szkody dla recepcji całości książki.

Jest jeszcze – często powtarzający się w tekstach Piotra Augustyniaka – motyw krytyki polskiego Kościoła Katolickiego i tradycji romantycznej, w przekonaniu autora, na zgubę obu, nierozzerwalnie zrosniętej z polskim katolicyzmem. Ale do tej części rozważań odnosić się będę jedynie w sytuacji omawiania głównej tezy książki.

Zajmę się zatem wyłącznie tym co uważam za *clou* owej „wyspiańskologicznej” świeżynki, i chcę zaprosić jej przyszłych czytelników do wspólnego namysłu na zagadnieniu: „czy Polska jest Konradem?” I czy warto podejmować psychoterapię owego bohatera naszej narodowej, słowiańsko-homeryckiej, mitologii?

Zdaniem Piotra Augustyniaka, Wyspiański w swoim ostatnim dramacie stawia bardzo mocne, a zarazem jednoznaczne tezy na temat Polski, a dokładnie rzecz biorąc, na temat duszy polskiej. Warto też dodać, że z całym przekonaniem twierdzi, iż wyczytał je na stronnicach Wyspiańskiego właśnie.

Polska dusza jest chora, niedojrzała, i wstrzymana w swym rozwoju. Nie nadążamy (tak jak nie nadążaliśmy 116 lat temu) za światowym rozwojem, nie rozumiemy świata, a świat nas nie rozumie. Ale – jak nas informuje autor – nie jest to jakaś genetyczna skaza naszej narodowej zbiorowości. Jest to wada nabyta, będąca skutkiem rozlicznych traum dziejowych. Przyczyną naszych zbiorowych kłopotów, naszego niedorozwoju, jest *polski fantazmat*, czyli nasze wyobrażenie o świecie i nas samych. Piotr Augustyniak twierdzi że tak naprawdę zbiorowo, nie postrzegamy, lecz odczuwamy rzeczywistość.

Hasła te powracają, stają się znów chwytliwe, ponieważ odpowiadają sposobowi postrzegania, a dokładnie odczuwania rzeczywistości, który zaszczepia nam polskość – polska kultura, polskie wychowanie, polska potoczna opinia. Ten sposób odczuwania ma wiele z wyobrażenia, czyli fantazji, dlatego zwykł się go nazywać fantazmatem. Z faktami nie stykamy się

bezpośrednio, nie postrzegamy ich obiektywnie, ale zawsze na podstawie naszych wyobrażeń, które łączą to co indywidualne z tym co zbiorowe. (s. 25)

Cechą owego fantazmatu jest poczucie krzywdy i potrzeba odzyskania należnego Polakom miejsca w świecie (i nie ma znaczenia na ile owe uczucia są słuszne i godziwe). A ponieważ jest on skutkiem traumatycznych przeżyć zbiorowych, czyli utraty niepodległości, insurekcyjnych katastrof czy walki o utrzymanie tożsamości narodowej, to nic dziwnego że nasza – opanowana przez fantazmat – dusza jest chora. Wyspiański wyobraża ów patologiczny stan za pomocą teatralnej wizji snu. Polski naród żyje w dwubiegunowym cyklu letargu sennego – „biernego poddania się okolicznościom, siłom i mechanizm świata (...) snem jest również sytuacja kiedy ostrzy się kosy, ogłaszając konieczność mobilizacji i rzeczywiście mobilizując się przeciw nawiedzającym fantazje wrogom” (s. 33).

Bardzo ciekawy pomysł z tym snem. Bo analiza snów i popędów pchających nas w poszczególne fazy, zdaje się ukazywać prawdę o nas samych, wszak sny nie kłamią. Ale zastanówmy się, czy książka Piotra Augustyniaka to narodowa psychoanaliza, czy po prostu sennik egipski.

Wyspiański miałby – zdaniem autora – wskazywać na konieczność przezwyciężenia owego fantazmatu, owego widzenia świata przez krzywe zwierciadło, i niemalże przymus przebudowy polskiej świadomości. Należy przejść od życia, które jest żywione popędami i opierania się na jedynie energii (w naszym narodzie przepotężnej) życiowej, do fazy nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego.

Wyspiański udziela nam wskazówki o niezwyklej wadze: polskiego społeczeństwa nie uda się przeprowadzić ze snu do obywatelskiej jawy na drodze działań (przemian i reform) o charakterze politycznym. Potrzebna jest inna droga. Tą drogą jest transpolityczne, bo dopiero umożliwiające jakąkolwiek nowoczesną politykę, rozprawienie się z fantazmatem i wyzwolenie spętanej w nim energii. Jak jednak tego dokonać? Jak przystąpić do owej „rozprawy”? Wyspiański przekonuje, że przed działaniem stricte politycznym potrzebne jest działanie teatralne, czyli performatywne. Tylko performans jest dla nas szansą, jeśli marzy się nam zburzenie polskiego kościoła. (s. 36)

I w tym miejscu książki przechodzimy do ciekawych Augustyniakowych rozważań na temat teatru (nie tylko polskiego), rozważań, które z pełną świadomością pomijam z braku miejsca i czasu. Ale polecam...

... sam powracam do głównego zagadnienia książki. Kluczowym pytaniem jakie należy zadać sobie podczas lektury jest pytanie czym jest *performans*. Próbujemy zdefiniować zjawisko tak niejednoznaczne, tak obudowane praktyką i literaturą, wielokrotnie rekonstruowane i dekonstruowane, że musimy sobie uczciwie powiedzieć, że nie da się go jednoznacznie opisać i określić. Ale możemy uchwycić je tak, aby być jak najbliżej interpretacji dramatów Wyspiańskiego, dokonanej przez Augustyniaka.

I tutaj należy wyraźnie postawić tamę uproszczeniom. Proponowany w książce akt artystyczny nie jest banalną psycho-terapeutyczną dramą. Nie wciągamy widzów na scenę aby odgrywali scenki ze swego życia

*Jeżeli chodzi o moją niezgodę
i polemikę z treściami
zawartymi w książce, to trzeba
po pierwsze wskazać na
niezgodę z twierdzeniem o
dwubiegunowej chorobie
polskiego narodu*

indywidualnego,
społecznego, czy
narodowego, w celu
wyleczenia z traumy
i chorych fantazji. W
tej sytuacji
stawialibyśmy obu
krakowskich autorów
w roli autorów
gazetowych pseudo-
psychologicznych
poradników, czy

właśnie owych senników egipskich (bądź babilońskich). Proponowany w książce performans jest czymś o wiele bardziej wyrafinowanym. Teatr – zwłaszcza teatr Wyspiańskiego – jest sposobem na ukazywanie nam rzeczywistości oraz prawdy, o nas i o świecie. Ale, co jest oczywiste, owa prawda jest niemożliwa do uchwycenia. Teatr jest zatem jedynie mirażem, pięknym i rozwijającym, ale jednak odbiciem. Zwłaszcza gdy opisuje go poprzez metaforę snu. Zatem jaką rolę przewiduje dla widowni, czyli Polski, autor dramatu-performansu? Jak się ma Polska konfrontować sama ze sobą (wszak Konrad jest Polską)? Co mamy osiągnąć i w jaki sposób?

Autor stara się nam odpowiedzieć językiem filozofii (nie dziwota – sam jest filozofem), chociaż nie wprost. Skoro oglądamy polskość jako odbicie, to jest ono cieniem na ścianie jaskini – a zatem, zgodnie z podstawowym prawem logiki, możemy w tym cieniu zobaczyć wszystko. Piotr Augustyniak twierdzi, że teatralny performans pozwala nam na ujrzenie tego najbliższe istocie. A właściwie nie tyle ujrzeć, co dotrzeć do istoty rzeczy. Tutaj konieczne jest nie tyle intelektualne pojmowanie co aktywne odtwarzanie. Precyzyjnie rzecz ujmując nie:

„nie tyle” lecz „nie tylko”. Cień rzucony na ścianę, w trakcie takiego aktywnego uczestnictwa w dramacie, jest najbardziej odczuwalny. Po raz kolejny widzimy platonizm Augustyniaka, ten jego nieoczywisty post-platonizm.

Ten narodowy teatr proponowany przez Wyspiańskiego jest – zdaniem autora książki – najlepszą drogą do przebudowy polskiego ducha, do oderwania się od fałszywych obrazów świata. I ukończona zostanie – rozpoczęta przez Wyspiańskiego wielka narodowa psycho-terapia.

Książka krakowskiego filozofa frapuje, jednakże muszę stwierdzić, że częściej przez niezgodę z jego twierdzeniami i wizjami, niż przez współ-myślenie i współ-odczuwanie. Ale nie chcę tym miejscu rozpoczynać polemiki – wierzę, że będzie na nią miejsce w najbliższych miesiącach i latach. Wskaże jedynie dwa podstawowe punkty niezgody i zaproponuję jeden postulat badawczy.

Zacznę od tego ostatniego. Zaś propozycję badań i debaty ujmę hasłowo: „Wyspiański jako najpierwszy (chronologicznie i hierarchicznie) polski receptor Bergsona?” Czy rozważania o energii życiowej, wszechobecne w deliberacjach nad jego dramatami, nie powinny nas kierować w kierunku francuskiego filozofa? Nie ma najmniejszych podstaw do twierdzenia, że Wyspiański nic o nim nie wiedział. Ślady takich związków zdają się znajdować w jego plastycznych dziełach, zatem seminarium filozoficzne, kończące się obszerną publikacją, o tytule „Wyspiański a Bergson” wydaje się koniecznością.

Jeżeli zaś chodzi o moją niezgodę i polemikę z treściami zawartymi w książce, to trzeba po pierwsze wskazać na niezgodę z twierdzeniem o dwubiegunowej chorobie polskiego narodu. Nie zapadamy w letargi i nie budzimy się do chorobliwej nadaktywności. Odwołam się do autora, którego trudno oskarżać o romantyczne fantazmaty (choć nazwisko może się profesorowi Augustyniakowi, krytycznie piszącemu o romantyczno-sienkiewiczowskiej wizji Polski, nie spodobać).

W ciągu 100 lat, w trakcie życia trzech pokoleń (socjologowie liczą pokolenia ich najwyższą biologiczną aktywnością – wiekiem 30 lat) trzy razy zaczynaliśmy od zera. I trzy razy się odbudowaliśmy. Energia społeczna zawarta w tych wydarzeniach jest świadectwem niezwykłej siły i odporności. Woli zbiorowej, w której niemożliwe staje się możliwe i dokonane. (...) Ta energia, która się w nas wyzwala to nasza „broń atomowa”. To powód do dumy, że się jest Polakiem, zrozumiąły dla każdego niezależnie od kraju pochodzenia. (Bartłomiej Sienkiewicz, Państwo teoretyczne, Warszawa 2018, Wydawnictwo Arbitor, s. 109)

Pisząc obrazowo: nie zapadamy w letarg lecz jesteśmy napadani przez bandytów i waleni pałką po głowie. A potem nie do końca wyleczeni i wciąż w bandażach powoli odbudowujemy się i idziemy ku zdrowiu i sile. Powie Augustyniak, że to chore rojenia naszego romantycznego fantazmatu, a ja powiem, to są historyczne fakty. Daty 1918, 1945 i 1989 to nie są tylko symboliczne kartki z kalendarza to są naprawdę istotne momenty w dziejach naszej zbiorowości. Jako symbole wielkiego wysiłku budowy, równie ważne (o ile nie ważniejsze) jak nasze insurekcyjne zrywy. Zaś kierunek wyznaczany przez nasze

marzenia nie jest bynajmniej rojeniem chorego, zbiorowego, umysłu. To jest wielka narodowa ambicja. Coś jak *american dream*, jak cele wyznaczone sobie przez potężne i nowoczesne narody świata.

Jednakże autor twierdzi, że w polskim życiu trwałą postawą jest tanatyczny letarg, a nie energiczny marsz.

Jeśli więc zapytać, co jest powodem tego, że siła performans nie wdziera się w tkankę społeczną, odpowiedź jest jedna: społeczeństwo chroni się przed tym, bo jest spętane popędem śmierci. Ten bowiem sprzeciwia się wszelkiej radykalniejszej zmianie tożsamościowej, sprzyja natomiast bezwonnemu i w gruncie rzeczy autodestrukcyjnemu dryfowi fantazmatycznego „długiego trwania”. Wniosek, do którego doprowadza nas Wyspiański, jest zatem gorzki i bardzo pesymistyczny: działanie performatywne napędzane przez wyzwalającą się krytyczną myśl dopóki trwa, jest wielkim triumfem energii życia. Cóż jednak z tego, skoro na końcu ludzie wracają „do domu”, gdzie jak gdyby nic się nie stało, oddają się swoim thanatycznym nawykom, przekonaniom i codziennym rytuałom. Owszem, performans jest świętem życia w krainie śmierci. Nie potrafi jednak trwale zmienić oblicza owej. Jest li tylko chwilowym wyłomem, dającym co najwyżej przelotną ulgę uczestniczącemu w nim artyście i widzowi. (s. 189)

I tutaj mamy do czynienia z podstawowym sporem, po pierwsze, w moim głębokim przekonaniu, opis ten nie jest zgodny ze stanem rzeczywistym. Nie polski *tahnatos* lecz polskie *élan vital*. Oczywiście musi także paść pytanie, jaka jest opinia Wyspiańskiego? Czy Augustyniak interpretuje jego teksty prawidłowo?

Oczywiście wywód potwierdzający moje twierdzenia byłby bardzo długi, być może wymagałby powtórzenia długości omawianej książki. Dlatego też ograniczę się do własnej tezy – odmiennej niż autora. Wyspiański owe „odmienne stany świadomości” tłumaczy nie tyle letargicznym „lenistwem ducha”, co świadomym odurzaniem się. Powstaje z tego paradoks. Letarg jest raczej ową „aktywną” fazą w dwubiegunowej chorobie polskiej. Polacy są zbyt zmęczeni by móc się cieszyć nieustannym odbudowywaniem tego niszczy świat dookoła, za bardzo przypominają zabiegane mrówki by móc się swa krzątanią cieszyć. Tak budzi się nasz charakterystyczny rys narodowy – skłonność do narzekania. Aby nie zwariować wprawiamy się w pewnego rodzaju narkotyczne odurzenie – wódka w *Weselu*, wirtualna rzeczywistość masek w *Wyzwoleniu*, czy niekończące się rozmowy w *Warszawiance*. Inny zatem byłby cel performans proponowanego przez autora *Nocy Listopadowej*, niż ten który nam przepisuje twórca *Burzenia polskiego Kościoła*.

Drugim punktem polemiki jest wizja nowoczesności (lub inaczej nazywając – modernizmu) jaką widzi u Wyspiańskiego profesor Augustyniak. Z jednej strony – co nie powinno budzić niczyjego sprzeciwu – wskazuje na krytykę romantyzmu i mesjanizmu, jaką u Wyspiańskiego widać. Ale z drugiej strony odcina go od współczesnej myśli, czyli Dmowskiego i Brzozowskiego. Trudno jest także odnaleźć się wizji roztaczanej w książce, czyli Wyspiańskiego nietzscheanisty i freudysty. Pisałem o Bergsonie, i on wydaje mi się lepszym kluczem do odczytywania *Wyzwolenia* i *Wesela*. Trudno jednak podejmować polemiki z tezami zawartymi w końcowych rozdziałach książki. Są mocne, a jednak, wydaje się, że słabo uargumentowane, nie dorównują wcześniejszym rozdziałom. Mam podejrzenie, że terminy wydawnicze

nie pozwoliły autorowi na rozwinięcie myśli. Być może też wydawca stwierdził, że długość książki przerosła by możliwości i potrzeby produkcyjne.

Ale jest punkt w którym wszyscy trzej (Wyspiański, Augustyniak i Gałkowski) się zbiegamy, jest nim ocena rzeczywistości. Jesteśmy zbyt mali w stosunku co jest możliwe, czy skarleliśmy, czy tylko marzymy o tym by być olbrzymami? Lektura Wyspiańskiego, a zwłaszcza dobre teatralne inscenizacje, nie tylko dostarczają wielkiej przyjemności estetycznej, są w stanie pomóc nam w diagnozie trudnego polskiego ducha.

Piotr Augustyniak, „Wyspiański. Burzenie polskiego kościoła. Studium o Wyzwoleniu”, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019

